

Leonid Sołowiow

Hodża Nasreddin

PRZYGÓD KSIĘGA DRUGA

Zaczarowany Książę

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna



DIALOG 

Leonid Sołowiow

HODŹA NASREDDIN
PRZYGÓD KSIĘGA DRUGA

ZACZAROWANY KSIĄŻĘ



Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

Wydawnictwo Akademiczne DIALOG
Warszawa

Tłumaczyła: IZABELLA ZABŁUDOWSKA
Wiersze w przekładzie: LEOPOLDA LEWINA
Winiety ilustrował: MIROSŁAW POKORA
Skład i łamanie: Wydawnictwo Akademickie DIALOG

© Copyright for the Polish edition Wydawnictwo Akademickie DIALOG

Wydanie elektroniczne, Warszawa 2014

ISBN e-pub 978-83-8002-076-4

ISBN mobi 978-83-8002-080-1

Wydawnictwo Akademickie DIALOG
00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218
tel./faks (+48 22) 620 87 03
e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl
WWW: www.wydawnictwodialog.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Przypisy

Informacje o wydawnictwie

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

„Przewędrowałem wiele różnych krajów, bywałem w gościnie u wielu narodów i zrywałem po kłosku z każdej niwy, jako że lepiej jest chodzić boso niż w ciasnym obuwiu, lepiej cierpieć wszelakie niedole wędrówek niżli siedzieć w domu... I powiem jeszcze: z każdą nową wiosną trzeba sobie wybrać nową miłość, albowiem, przyjacielu, zeszlóroczny kalendarz nie przyda się na dzień dzisiejszy!...”

Saadi^[1]

Uczeni mędrcy minionych stuleci zostawili światu w spuściźnie mnóstwo ksiąg, ażeby pochodnią swojej wiedzy oświecać nam, którzy żyjemy dzisiaj, kręte i niebezpieczne drogi naszego życia. W księgach tych można przeczytać o wszystkim: o wojnach i trzęsieniach ziemi, o cudach i prorocत्वach. Każdą stronicę zdobią imiona szejków, kalifów, niezwycięzonych wojowników i innych sławnych mężów. O jednym tylko człowieku nie wspomina się nawet słowem w tych księgach – o Hodży Nasreddinie, choć imię jego słynne było w całym świecie.

To przeoczenie ze strony mędrców nie dziwi nas ani trochę. W owych odległych czasach nierzadko zdarzało się bowiem, że jakiś mędrzec posiał w swojej księdze ziarna bogactwa i zaszczytów, a liche – niestety! – zbierał urodzaje. Z tej to przyczyny mędrcy byli nader ostrożni w słowach i myśleniu, co widać jasno na przykładzie bogobojnego Muhammeda Rasula ibn-Mansura: osiadłszy w Damaszku, zabrał się do pisania księgi „Skarb szlachetnych” i właśnie doszedł już do żywota niepoprawnego grzesznika, wezyra Abu Ishaka, kiedy się nagle dowiedział, że głowa miasta jest po kądzieli w prostej linii potomkiem owego wezyra. „Chwała niech będzie Allahowi, że w porę zesłał mi tę wieść” – zawołał mędrzec, odliczył dziesięć czystych stronic i na każdej napisał tylko: „Aby uniknąć...”, po czym natychmiast przeszedł do historii innego wezyra, którego potomkowie żyli daleko od Damaszku. Dzięki swej dalekowzroczości wspomniany mędrzec przeżył w Damaszku bez wstrząsów jeszcze wiele lat i nawet udało mu się umrzeć śmiercią naturalną – nie musiał przejść przez most pozagrobowy z własną głową, niczym latarnią, w ręce.

Księgi milczą o Hodży Nasreddinie. Ciężki kamień zakazu przywalił w tych latach jego imię. Taka była wola potężnych władców – kalifów, sułtanów i szachów, którzy chcieli dosięgnąć go swą zemstą choćby w przyszłych stuleciach, odzierając z pośmiertnej sławy. Ale spytamy: czy udało im się osiągnąć swój cel? Stara to historia, zawsze ta sama, mówi o niej Selman Sawedża: „Kto godzien sławy, zdobędzie ją, choćby wszystkie wichry sprzysięły się przeciw niemu!”

Albowiem jest taka księga, nad którą nie mają władzy kalifowie. W tej to wielkiej księdze znalazł Hodża Nasreddin swoją nieśmiertelność.

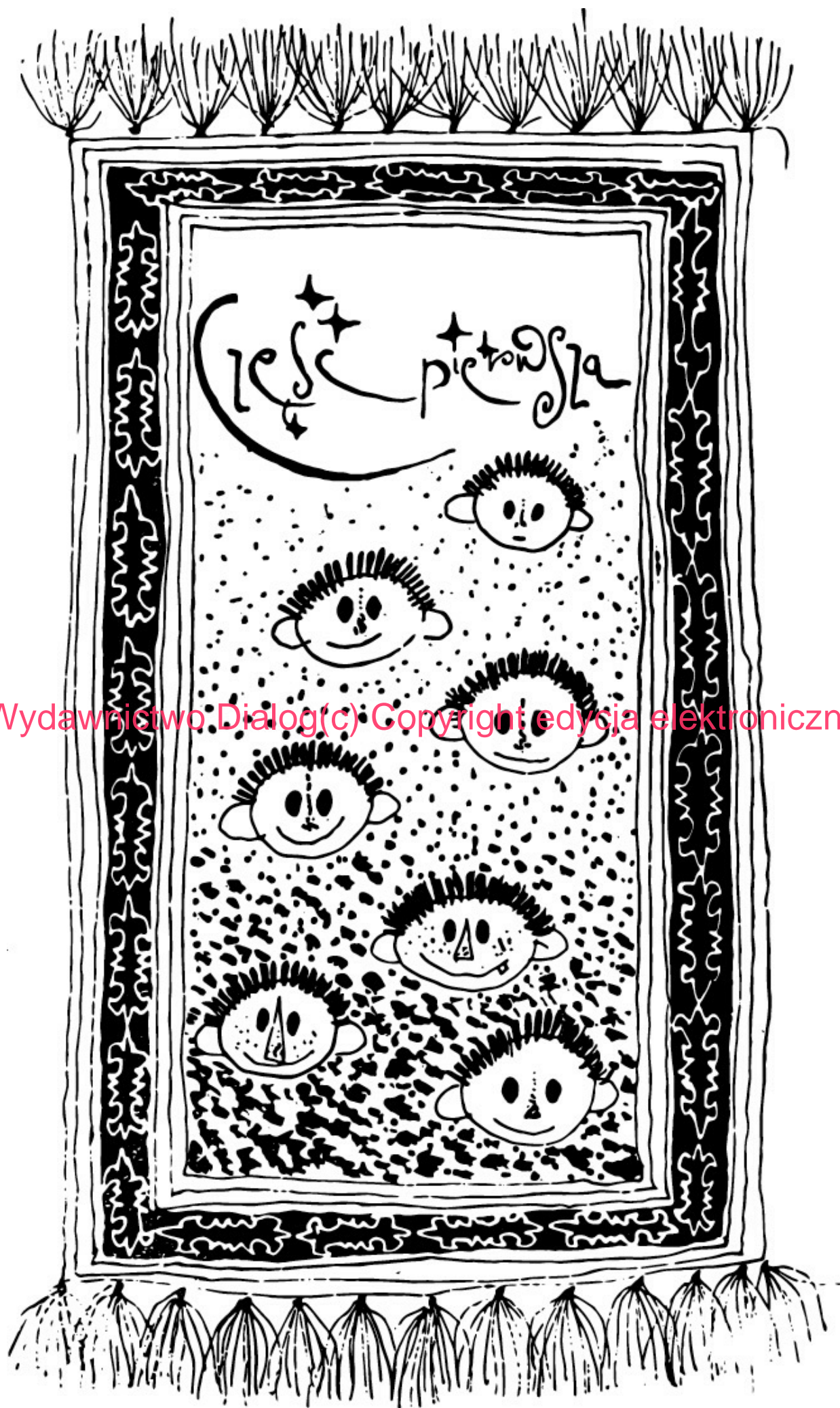
Jest w mieście Chodżent nad brzegiem Syr-darii rozległe pustkowie, na którym nikt się nie osiedla i nie zakłada ogrodów, ponieważ rzeka w tym miejscu zakręca, podmywa brzeg i zalewa go na trzy, cztery łokcie. Rzeka zmyła już pustkowie do połowy i podeszła tuż pod potężny, samotnie tu rosnący karagacz, obnażając z jednej strony jego grube, suplaste korzenie opuszczające się z gliniastej stromizny ku wodzie. Wystawiony na słoneczne promienie, obficie zasilany wilgocią, karagacz rozrósł się szeroko, przyćmiewając swą bujną, zieloną koroną sąsiednie drzewa, które

zbiły się nie opodal w żalną kępę przy szerokiej, zakurzonej drodze. Dręczone pragnieniem, usychając w spiekocie, ledwo-ledwo szeleszczą wątlm, słabym listowiem i jak mali, nędzni ludzie spoglądają z zawiścią na szczęśliwego sąsiada. „To nic – myślą sobie – rzeka jeszcze trochę podmyje brzeg i ten pyszałek, utraciwszy grunt pod sobą, zwali się i popłynie z prądem, aby zgnić niesławnie na jakiejś ławicy piaskowej. A my będziemy tu stać po dawnemu, błogosławiąc los, że pozwolił nam rosnać z dala od rzeki. Choć niepiękne jest nasze ubogie listowie, choć nie potrafi osłonić wędrowca chłodnym cieniem, choć zasypuje nas gorący pył przydrożny, a naszym korzeniom ciasno jest w suchej i twardej glebie – jesteśmy zadowolone i nie pragniemy innego losu, albowiem pragnienia rodzą niebezpieczeństwa, czego przykładem jest duży karagacz”.

Są w błędzie: karagacz nie zwali się do rzeki i nie popłynie z prądem. Woda zmyje wokół niego tylko to, co małe i wątłe, ale nie zmoże jego potężnego korzenia, wrosłego w ziemię głęboko, niemal do dna. Karagacz utrzyma się na brzegu, rzeka, która go podmywała, naniesie mu żyznego łu, a on, umacniając brzeg, długo jeszcze będzie się zielenić, coraz szerzej roztaczając swoją potężną, litą koronę, gdy tymczasem drzewa stojące opodal oddadzą już swe żalose życie płomieniom ognisk... I nawet gdy spadnie zeń cała kora, zeschnie się drewno i w pniu ustanie krążenie soków, nie zrąbią go i nie spiłują na deski, tylko otoczą pięknym ogrodzeniem i wędrowcowi, który zajdzie do Chodżentu, będą pokazywać: „Oto karagacz posadzony i wyhodowany przez samego Hodżę Nasreddina!”.

I dowie się jeszcze wędrowiec, że podmiejskie osiedle Chodżentu, Razzok (co znaczy: Dawca chleba powszedniego), zamieszkałe przez piekarzy, ma wśród ludu drugą jeszcze nazwę: Osiedle Hodży Nasreddina, ponieważ właśnie tutaj, jak głosi podanie, stał w dawnych czasach jego dom. Mieszkańcy Chodżentu opowiedzą wędrowcowi, że w górach, po drodze do Asztu jest jezioro Hodży Nasreddina. Nad jego brzegiem leży mała wioska Czorak. W wiosce tej jest czajchana ^[2] Hodży Nasreddina, a w czajchaniu pod okapem żyją wróble Hodży Nasreddina, potomkowie pewnego znakomitego wróbla, o którym będzie dalej mowa. Jest tam również pieczara o dziwnej nazwie „Schronienie szlachetnego złodzieja”, jest aryk ^[3] Hodży Nasreddina, mostek Hodży Nasreddina – słowem, wszystko tchnie tu jego pamięcią, jakby wczoraj zaledwie odjechał stąd na swym iszaku ^[4].

Odziani chałatem zapału i uzbrojeni w kostur cierpliwości odwiedziliśmy wszystkie te miejsca. Nocowaliśmy pod niejednym dachem, grzaliśmy się u niejednego ogniska, rozmawialiśmy o Hodży Nasreddinie z wieloma ludźmi. Los był nam przychylny w naszych poszukiwaniach i oto dziś odsłaniamy jeszcze jedną stronicę jego życia i powtarzamy za mędrcom Ibn Tufajlem: „Oby ta historia posłużyła jako nauka temu, kto ma serce, albo temu, kto potrafi uważnie słuchać i patrzeć...”



Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

„A potem kupiec i jego żona wyruszyli w daleką drogę. Jechali długo przez góry i stepy, przez morza i pustynie, w spiekocie południa i świeżym chłodku świtu. Allach strzegł ich w tej drodze, aż wreszcie na dzień trzydziesty doszli do miasta Basra...”

Tysiąc i jedna noc

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Opuściwszy Bucharę, Hodża Nasreddin wraz z żoną swoją Giuldżan udał się najpierw do Sambułu, a stamtąd do Arabów. Zamącił spokój kolejno w Bagdadzie, Medynie, Bejrucie i Basrze, po czym zawadził mimochodem o Kair, gdzie przez krótki czas piastował godność naczelnego sędziego. Kogo i jak sądził, nie wiemy, wiadomo tylko jedno: że potem przez dwa lata szukano go i tropiono po całym Egipcie. Ale on był wówczas daleko – przemierzał inne kraje, inne szlaki.

Ten urodzony włóczęga nigdzie nie zatrzymywał się na długo. O świcie siodłał iszaki: białego dla Giuldżan, szarego dla siebie, i znów ruszał w drogę, wciąż naprzód, wciąż dalej, co dzień na innym odpoczywając noclegu. Rankiem walczył z zadymką i mrozem na śnieżnych górskich przełęczach, w południe wysuszał mu usta nieruchomy żar kamienistych wąwozów, wieczorem wdychał aromatyczny chłód doliny i pił z aryka mętłą wodę, której narodzin z lodu i śniegu był świadkiem dziś rano, tam w górze.

Gdyby mógł postępować wedle własnej woli, nigdy nie zaprzestałby tych wędrówek, wciąż jeździłby i jeździł, opasując ziemię maleńkimi śladami kopyt swojego iszaka. Ale człowiek, który ma żonę, musi też mieć potomstwo. Hodża Nasreddin nie był wyjątkiem od tej zasady: w czwartym roku ich małżeńskiego pożycia Giuldżan obdarowała go czwartym synem. Radował się Hodża Nasreddin, radowała się Giuldżan, hałaśliwym klaskaniem w dłonie objawiali swą radość bracia nowo narodzonego, uroczyście ryczał biały iszak, wieszcząc wszystkim dwunogom – upierzonym i nieupierzonym – wszystkim czworonogom, wszystkim stworzeniom pływającym i pełzającym, że przyszedł na świat nowy pan i władca. Tylko szary iszak nie okazywał radości, ponuro strzygł uszami i patrzył w ziemię, nie dostrzegając uroków, jakie szcudrze rozrzuciła dokoła wiosna.

Po miesiącu ruszyli dalej – Giuldżan na swoim białym iszaku, a Hodża Nasreddin na szarym. Przed Hodżą Nasreddinem, na samym karku osła siedział najstarszy syn, drugi siedział za nim i zabawiał się oślim ogonem, wybierając zeń rzepy; trzeci syn jechał w torbie przerzuconej przez grzbiet osła z prawego boku, czwartego ułożono w torbie z lewego boku.

– Giuldżan, mój iszak smuci się czegoś ostatnio – powiedział Hodża Nasreddin. – Może jest chory? Zlituj się, Allachu, i uchron nas od takiego nieszczęścia!

– Kup na najbliższym bazarze porządny kańczug, a zobaczysz, jak rozweseli się od razu – poradziła Giuldżan.

Iszak przysłuchiwał się tym rozmowom i wzdychał tylko, wyrzekając w duszy na swego pana.

Minął rok, znów nadeszła wiosna, południowy wiatr rozwarł kwiaty moreli, sady utonęły w białoróżowej pianie kwitnienia, napełniły się śpiewem, szczebiotem i świergotaniem ptaków, aryki wystąpiły z brzegów i nocą huczały i dudniły głośno. Raz podczas postoju szary iszak, skubiąc świeżą wiosenną trawkę, zerknął na Giuldżan i zauważył, że niewiasta znów jakby przytyła. Utwierdziwszy się w słuszności swych podejrzeń, zaryczał, zerwał postronek i skoczył w bok trując po drodze krzaki.

Dopiero wtedy Hodża Nasreddin domyślił się, jaki jest powód smutnej zadumy kłapoucha.

– Moja przepiękna Giuldżan – powiedział – będzie sprawiedliwie, jeśli ty weźmiesz dwóch młodszych synów do siebie, na białego osła.

Od tego czasu zaczął się smucić biały iszak, natomiast szary, strzygąc uszami i machając ogonem, dzielnie przebierał kopytami.

Ale minęły jeszcze dwa lata i smucić się zaczęły obydwaj iszaki.

– A może kupimy trzeciego? – zaproponowała Giuldżan.

– O różo moja prześliczna, przecież jeśli tak dalej pójdzie, to wkrótce ciągnąć za nami będzie cała karawana! – odparł Hodża Nasreddin. – Nie, widzę, że skończyły się dla mnie lata wędrówek, nadeszły lata medytacji i rozmyślań.

– Chwała Allahowi! – zawołała Giuldżan. – Nareszcie zrozumiałeś, że w twoim wieku i z tak liczną rodziną nie przystoi wałęsać się po świecie, niczym jaki bezdomny włóczęga. Pojedziemy do Buchary, zamieszkamy u mojego ojca...

– Poczekaj! – zatrzymał ją Hodża Nasreddin. – Zapomniałaś, że w Bucharze dotąd jeszcze panuje ten sam prześwietny emir, i że na pewno pamięta on swego nadwornego astrologa Husseina Huslię. Zamieszkajmy już lepiej gdzieś tutaj, w Kokandzie czy Chodźencie.

Z pagórka, na którym rozbił tego dnia swój namiot na nocleg, widać było dwie drogi: jedna szeroka, handlowa, wiodła w kierunku Kokandu, druga wąska, polna – w kierunku Chodźentu. Wielką drogą kokandzką w gęstym obłoku kurzu toczył się ciemny, huczący potok wielbłądzich karawan, arb, jeźdźców, pieszych; droga chodźencka była pusta, cicha, a wysokie niebo nad nią ledwie się różowiło, prześwietlone jasnym blaskiem zachodu.

– Pojedziemy do Kokandu – powiedział Hodża Nasreddin.

– Nie, jedźmy lepiej do Chodźentu – zaprotestowała Giuldżan. – Zmęczyły mnie już wielkie miasta, hałaśliwe bazy, chciałabym odetchnąć w spokoju.

Zrozumiał swój błąd: chcąc trafić do Kokandu i znając charakter swojej połowicy, powinien był zaproponować jej Chodźent. „Do takiej zapadłej dziury!” – zawołałaby Giuldżan. A nazajutrz podążaliby szerokim gościńcem. Ale na naprawienie błędu było już za późno, a kłócić się z żoną wręcz niebezpiecznie, albowiem prawdę mówi stare przysłowie: „Kto kłóci się z żoną, skraca dni swego żywota”.

Hodża Nasreddin westchnął:

– Byłem kiedyś w Chodźencie i po dziś pamiętam smak wspaniałych tamtejszych winogron. Dobra, niechaj będzie, jak chcesz...

I zamieszkali w Chodźencie, w osiedlu piekarzy Razzok, nad samym brzegiem Syr-darii. Potężna rzeka, karmicielka niezliczonych pokoleń, wyrwawszy się z ciasnych wąwozów górskich w dolinę, łagodziła tu wściekły napór swych żółtych, bulgocących wód i pod Chodźentem płynęła szeroka, rozlewna, dając życie roślinom, zwierzętom i ludziom, i usypiając po nocach dzieci Hodży Nasreddina cichym szmerem wody podmywającej gliniasty brzeg.

W czasach, o których tu mowa, z dawnej sławy i bogactw Chodźentu nie pozostało ani śladu. Teraz było to małe, senne miasteczko, zamieszkane przez drobnych kramarzy, ogrodników i mnóstwo zgrzybiałych starców w turbanach: dawnych mułłów, mudarrisów^[5], ulemów^[6] i kadich^[7]. Starcy modlili się w meczetach, starcy wysiadali w czajchanach, snuli się po ulicach, zaułkach i placach, napełniając miasto starczym kaszlem i klapaniem pantofli.

Zadziwiające było takie skupienie starców w jednym mieście – można by pomyśleć, że zmówili się oni w sekrecie, aby prochy swoje powierzyć tylko żółtej chodźenckiej ziemi, i w tym celu ściągnęli tu ze wszystkich krańców muzułmańskiego świata.

Otoczony ze wszystkich stron obfitymi w wodę arykami, osłonięty górami od zimnych wiatrów, Chodźent ze swymi winnicami i sadami był prawdziwym rajem dla każdego, kogo znużyły życiowe burze, toteż mieszkańcy jego nigdy nie przestawali zanosić modłów dziękczynnych do Allacha, że pozwolił im żyć w takim szczęśliwym, błogosławionym mieście.

Jeden tylko człowiek w całym mieście myślał inaczej – niejaki Uzakbaj, były nadzorca sarmarkandzkich bazarów. Nawiasem mówią, ów Uzakbaj był w ogóle dziwnym i ponurym człowiekiem: zawsze nosił duże, ciemne okulary zasłaniające mu pół twarzy, z nikim się nie przyjaźnił, nie rozmawiał, nikogo nie odwiedzał i nikogo nie zapraszał do siebie. Ta jego nietowarzystwość podsunęła sąsiadom myśl, że jest to człowiek o czarnej duszy obciążonej licznymi grzechami. Chłopcy uciekali na jego widok, krzycząc zza węgłów i płotów: „Sowa! Sowa w okularach!...” A on milczał, kręcąc tylko głową, i niewesoło uśmiechał się na to przezwisko.

Tak, pod postacią Uzakbaja ukrywał się Hodża Nasreddin. Wiedział on, że w tym małym miasteczku, gdzie każdy wie wszystko o wszystkich, wystarczy, by raz wymknęło mu się jakieś nieopatrne słowo, by raz zrobił jakiś niewłaściwy krok, a na rodzinę jego zwali się istny samum! Wypadło więc zasłonić twarz ciemnymi okularami, przybrać cudze imię, odstraszyć sąsiadów mrukliwym zachowaniem. Ale w tych warunkach Chodźent był dla niego ponurym więzieniem i Hodża Nasreddin czuł się najniezwyklejszym człowiekiem na świecie.

Gorzko wyrzekał na Allacha, który zaszczepił w duszy jego dwa sprzeczne i wrogie sobie pierwiastki: przemożną pasję do włóczęgi i gorącą miłość rodziny. Rozdzierany przez te dwie siły, był prawdziwym męczennikiem, tym bardziej, że to swoje cierpienie ukrywał na samym dnie serca. Komu mógł się poskarżyć, przed kim wyzalić? Giuldżan, wiernej i ukochanej żonie? Ale przecież to ona właśnie była uosobieniem jednej z tych rozdzierających go sił; uosobieniem drugiej był iszak, drzemający sobie spokojnie nad swoim korytem i coraz bardziej obrastający sadłem. I chociaż osioł był pozbawiony daru ludzkiej mowy, tylko przed nim mógł wylewać po nocach swoje gorzkie żale

nieszczęsny cierpiętnik.

A każdy nowy dzień podobny był do wczorajszego. Hodża Nasreddin znowu nakładał okulary, przez które nawet słońce wydawało mu się ciemne i jakby zamglone, i szedł na bazar po zakupy. Po powrocie z bazaru zabierał się do różnych drobnych zajęć gospodarskich – w podwórzu, w ogrodzie czy w szopie.

Ale wieczór zawsze i niepodzielnie należał do niego. Rodzina spożywała kolację bez gospodarza. Hodża Nasreddin siedział w tym czasie w podmiejskiej czajchani nad brzegiem Syr-darii.

Była to najuboższa, najbrudniejsza w całym Chodżencie czajchana, którą odwiedzali tylko żebracy, złodzieje włóczędzy i inna miejska hołota. Ale za to tutaj Hodża Nasreddin czuł się bezpieczny.

Smrodliwie dymiły kaganki z baranim łojem. Dziobaty gospodarz czajchany – trudnił się zarazem skupem kradzionych rzeczy – ze złamanym i beczelnie zadartym nosem, krzątał się przy kipiących kumganach^[8]. Niebawem zaczęli schodzić się goście. Napełniając powietrze wstrętną wonią swoich nieprawdopodobnych łachmanów, których pochodzenia nie podjąłby się określić nawet naczelnny wódz cygańskich plemion „Luli”, w tiubietijkach^[9] tak zatłuszczonych, że można je było smażyć, garbaci, kulawi, ślepi, porażeni drżączką, pokryci wrzodami, o kiju i o kulach – ze wszystkich stron wpełzali do czajchany goście i z krzykiem, przekleństwami, kłócąc się zajadle, omawiali swoje dzienne sprawy, swoje groszowe zwycięstwa i klęski. Patrząc na wszystkich tych oberwańców, rojących się w mętym świetle kaganków, Hodża Nasreddin rozmyślał gorzko: „Oto, co mi zostało z wielkiego i pięknego świata”

A świat leżał przed nim – szeroki, rozległy, otwarty... Zorza wieczorna gasła, zmierzch gęstniał, przycichła rzeka dyszała ożywym chłodem – świat pokornie oddawał się we władanie nocy, a gwiazdy, rozbłyskując coraz mocniej, oddalały się od przezroczywej czerni nieba i spuszczały na ziemię drżące kryształowe nici – anielskie struny, jak powiedziałyby Hafiz^[10].

Hodża Nasreddin nie śpieszył się do domu. Połowa gości chrapała już w najlepsze leżąc pokotem na brudnej podłodze, gospodarz gasił ogień pod kumganami, w całym mieście zaczynały już sennie a śpiewnie przekrzykiwać się koguty, a on wciąż siedział i rozmyślał, jak by tu znaleźć wyjście, które uśmierzyłoby w jego duszy dwie wrogie sobie siły i wyzwoliło go z nieznośnej niewoli.

Sam nawet nie wiedział, że ta jego niewola ma się już ku końcowi: w duszy dojrzała już decyzja i wyczekuje tylko odpowiedniej chwili, żeby się wznieść do rozumu, a następnie przeobrazić w czyn. Jak nawistej lawinie brak mu było tylko bodźca!

RODZIAŁ DRUGI

Wreszcie los zesłał mu pewne niezwykle spotkanie, które stało się początkiem wydarzeń. Idąc wieczorem do czajchany, Hodża Nasreddin mijał zawsze u wejścia do starego, na pół rozwalonego meczetu Giuchar-Szad głuchoniemego żebraka siedzącego pod trzciniowym daszkiem. Na pozór był to najzwyczajniejszy w świecie żebrak, niczym nie wyróżniający się spośród swych licznych współbraci, których tłumy snuły się po bazarze, włóczyły po ulicach, oblegały meczety, grobowce i inne otoczone czcią miejsca, budzące szlachetne uczucia u wiernych, a przede wszystkim rozluźniające rzemyki ich sakiewek. Jedno tylko było u tego żebraka niezrozumiałe: dlaczego wybrał sobie meczet dawno nieczynny, przez nikogo nie odwiedzany i mało wobec tego przydatny w jego zawodzie. Gdy dostawał od Hodży Nasreddina swoje codzienne pół tańga^[11], dziękował milczącym pokłonem i łagodnym spojrzeniem dobrych starczych oczu, którym jakby wróciła dawna, dziecięca świetlistość, zwijał swój dziurawy dywanik i znikał w meczecie, w ruinach, gdzie widać mieszkał, dzieląc swoją samotność z nietoperzami i sowami.

I oto kiedyś nagle głuchoniemy żebrak przemówił. Zdarzyło się to pod koniec zimy, pewnego słotnego wieczora. Chmury przesłaniały odbłask zachodzącego słońca, ukośnie zacinął rzadki deszcz, w ogołoconych z liści drzewach świszczwał wiatr, marszczył mętną wodę w kałużach, szarpał i skręcał trzciniowy daszek nad głową starego żebraka. Hodża Nasreddin zatrzymał się przed nim, sięgnął do kieszeni po monete, ale nie zdążył jej wyjąć – żebrak wyciągnął ku niemu wychudłą dłoń i powiedział przejmującym głosem:

– Nie martw się, Hodžo Nasreddinie, wkrótce zrzucisz swoje ciemne okulary.

Hodża Nasreddin zamarł: stał, wytrzeszczywszy oczy, z półotwartymi ustami i ręką w kieszeni. Dobrze znał wszystkie sztuczki żebraków i nie zdziwiło go, że głuchoniemy przemówił – ale skąd starzec zna jego imię?

Żebrak odgadł jego myśli.

– Nie bój się mnie, Hodžo Nasreddinie. – W jego wyblakłych oczach zapalił się płomień. – Od wielu już lat gotuję się do rozmowy z tobą, żywię bowiem nadzieję, że potrafisz mi pomóc. Ale dotąd nigdy mi się to nie udawało, chociaż niejednokrotnie widywałem cię i dawniej. Widziałem cię w Bucharze, gdyś siedział ze swą czarką koło basenu Hauz-Labi, widziałem cię w Samarkandzie...

– Poczekaj – przerwał mu Hodża Nasreddin, którego zdumienie rosło z każdym słowem żebraka, – Jakim sposobem i gdzie dowiedziałeś się, że jestem tutaj? Posiałeś trwogę w moim sercu.

– Wypędź ją ze swego serca! W całej okolicy ja tylko wiem, że tu jesteś. Powiedział mi o tym jeden z moich duchowych braci z naszego tajnego Bractwa Milczących i Dociekających, czyli Derwiszów Gwiazdnych Wędrowców. Na początku zimy przechodził on przypadkiem przez bazar, akurat w chwili, gdy niezręczny tragarz potracił cię swoim tobołem i zrzucił na ziemię twoje ciemne okulary...

– Przypominam sobie! – rzekł Hodża Nasreddin. – Jednak twój brat duchowy nader bystry ma wzrok, skoro potrafił mnie rozpoznać w ciągu jednej chwili. Czy jesteś pewien, że nie godzi on tajnego Bractwa Milczących i Dociekających z drugim, również tajnym, Bractwem Podstuchujących i Podglądających?

– Nie grzesz! – surowo skarcił go żebrak. – To był szlachetny brat, którego pamięć jest dla mnie święta, albowiem z doczesnego, ziemskiego żywota przeniósł się on już w inny, wyższy byt.

– Przebacz mi, świętobliwy starcze – powiedział Hodża Nasreddin, który nabrał do derwisza głębokiej sympatii i zaufania. – I, powiedz, proszę, dlaczego właśnie dzisiaj zwróciłeś się do mnie?

– Wedle naszej reguły przez trzysta sześćdziesiąt trzy dni w roku jestem głuchy i niemy – odparł starzec. – Ty jesteś pierwszym człowiekiem, do którego odezwałem się po rocznym milczeniu. Właśnie dziś rozpoczęły się te moje dwa dni, kiedy wolno mi zdjąć pieczęć z ust moich. A nasze poprzednie spotkania wypadały zawsze albo przed tymi dniami, albo po nich, milczałem więc, choć serce rwało mi się do ciebie, a dusza zalewała się łzami.

– Powiedz, jakie spotkało cię nieszczęście, jakiej pomocy oczekujesz ode mnie?! – zawołał Hodża Nasreddin, poruszony słowami żebraka. – Może potrzebne ci są pieniądze, czcigodny starcze? Mam akurat schowane w pewnym ustronnym miejscu sto pięćdziesiąt tańga, o których nic nie wie moja żona.

– Jestem derwiszem i nie szukam w życiu żadnych korzyści okrom duchowych – odparł starzec z godnością. – Nie, nie o pieniądze cię proszę. Jednakże tu na drodze, na zimnym wietrze nie miejsce mówić o takich sprawach. Pojdź za mną.

Poszli w ruiny meczetu.

Starzec poprowadził gościa do malutkiej celi, która cudem jakimś ocalała podczas trzęsienia ziemi, skrzesał ogień, zapalił lampkę oliwną. Hodża Nasreddin zobaczył w kącie słomę – posłanie starca, dzban na wodę, glinianą skorupę, na której leżał czarny, czerstwy placek wygryziony przez myszy. Poza tym w celi nie było nic, ale też nic więcej nie trzeba było starcowi, który posiadał całą głębię i mądrość nauki derwiszów.

Starzec wziął placek, ostrożnie obłamał na dłoni wyjedzone brzeżki, wysypał okruchy na szmatkę leżącą w kącie przed mysią norą, po czym podzielił placek na pół i jedną połówkę podał gościowi.

– Posilimy się nieco przed naszą rozmową.

Za ścianą huczał wiatr, wdzierając się przez szczeliny kołysał wątlym płomykiem lampki. Chybotaniu płomienia towarzyszył na ścianie i suficie rozkołysany cień, to zaciemniając, to znów oświetlając chudą, garbatonosą twarz starca.

Tu, w tej ubogiej celi, przy żalobnym zawodzeniu wichru i uporczywym szumie kroplistego deszczu, wśród pisku uganiających się w słomie myszy, zaczęła się ich rozmowa. Starzec wy dostał spod słomy w kącie zawiniątko, rozwiązał je i wysypał na kamienną podłogę garść srebrnych monet.

– Oto pieniądze, które wrzucałeś do mojej miseczki. Zachowałem je wszystkie, łącznie z twoją wczorajszą monetą. Weź je i dodaj do tych stu pięćdziesięciu tańga, o których nie wie twoja żona.

– Nigdy w życiu nie odbierałem jałmużny, którą dałem! – zawołał Hodża Nasreddin. – Zatrzymaj te pieniądze u siebie, czcigodny starcze, i przy sposobności oddaj je jakiemuś biedakowi obciążonemu liczną rodziną. A teraz powiedz, jakiej pomocy oczekujesz ode mnie?

Starzec nic nie odpowiedział. Pogрузzył się w głębokiej zadumie. A sądząc po westchnieniach, jakie wyrywały mu się z piersi, gorzkie to musiały być rozmyślenia. Minęło sporo czasu, knot w lampce skwierczał i kopał, syjąc dokoła iskry, wąty płomyk ledwo się tlił.

Hodża Nasreddin ostrożnie zdjął patyczkiem kopeć – płomień rozbłyśł, oświetlając starca.

Starzec podniósł głowę:

– Odpowiedz mi najprzód, Hodzo Nasreddinie: czy znalazłeś już swoją wiarę?

– Swoją wiarę? – zdziwił się Hodża Nasreddin – Znam ją od dzieciństwa. Moją wiarą jest islam, choć wyznać muszę, że nieraz przeciw niej grzeszyłem.

– To jest ogólna wiara – powiedział starzec. – Ale przed każdym człowiekiem odkrywa się jeszcze jego własna, osobista wiara, ta, która istnieje tylko dla niego. Ja pytam o twoją osobistą wiarę, tę, która istnieje tylko dla ciebie.

Hodża Nasreddin musiał się przyznać, że swojej osobistej wiary nie znalazł.

– Tak też myślałem – oświadczył starzec. – A właśnie w niej to tkwi klucz do rozwiązania wszystkich zaga dek, które nas dręczą. Poznaj swoją wiarę, a to, co wydawało ci się ciemne, okaże się światłością, pozorny zamęt – harmonią, rzekomy bezsens stanie się zrozumiałym. Twoje życie, Hodzo Nasreddinie, było zawsze czynne i ruchliwe, ale dotyczyło to tylko jego zewnętrznego nurtu, gdy tymczasem duch, którego nie trąpiły żadne dociekania, zadowolony był z zwykłym zdrowym rozsądkiem i beztrąsko rozkoszował się pełnią swojej jedności ze światem. Ale teraz energia przesunęła się w głąb i objęła również ducha, który też jakby zaopatrzył się w iszaka i koczując z nim z Buchary przyczyn do Stambułu skutków, Bagdadu wątpliwości i Damaszku zaprzeczeń. Szukaj swojej wiary, Hodzo Nasreddinie, a jeśli sam nie potrafisz jej znaleźć, ja ci podpowiem.

– O świątobliwy starcze, zajrzałeś w samą głąb mojej duszy! Wiadome Ci są najskrytsze moje myśli!

– Wiadome – potwierdził starzec. – Wiedz, że towarzyszę ci duchem we wszystkich twoich wędrówkach, uczestniczę we wszystkich twoich sprawach. Gdziekolwiek jesteś i cokolwiek czynisz – wszystko, do ostatniego uronionego przez ciebie słowa, dociera do mnie i utrwała się w mej pamięci, żeby następnie przetopić się w złoże rozmyślenia. We mnie widzisz jakby samego siebie, ale siebie już po wejściu w końcowy okres ziemskiego bytowania, kiedy na miejsce burz i namiętności przychodzi spokój i mądrość.

– O wielki Allachu! Zaiste dziwny to przypadek: spotkać na drodze samego siebie, ale już jako starca i w postaci żebraka!

Hodży Nasreddinowi z lekka huczało w głowie: starzec dziwną swoją mową posiał w nim zamęt i wątpliwości.

Ale to był dopiero początek. Jeszcze mnóstwo różnych dziwnych rzeczy wypadło mu usłyszeć.

– Czcigodny starcze, wytłumacz mi jednak, cóż to jest za sprawa, w imię której zwróciłeś się do

mnie.

Derwisz zwiesił swą głowę.

– Bliski, bliski jest już czas, kiedy w milczeniu, bez ducha legnę na marach – rzekł z głęboką boleścią. – Przecucie tego momentu przyprawia mnie o drżenie, we łzach więc zanoszę do ciebie swe błaganie: pomóż!

– Ale jakże ci pomóc? Czy mam cię przenieść z mar?

– Nie, ratuj mojego ducha, by nie powrócił do niższego, początkowego wcielenia, które przeszedłem już niegdyś, w zamierzchłych czasach. Ileż to wcieleń przeszedł przez te nieskończone czasy mój duch, ileż ciężkich wysiłków poczynił na drodze do doskonałości. A teraz przez moje zbrodnicze niedbalstwo musi on rozpocząć swą drogę od nowa, od pierwszego, najbardziej niedoskonałego wcielenia...

– Miłosierny Allachu! – potrząsnął głową Hodża Nasreddin. – Nic a nic nie rozumiem! Powiedz mi w prostych, jasnych słowach: czego ci trzeba ode mnie?

– Kotwica mego zbawienia w twoich jest rękach! – powtórzył starzec. – Atoli widzę, iż nie zrozumiesz mnie, dopóki nie odkryję przed tobą pewnych tajemnic wiadomych tylko nam: Milczącym i Dociekającym.

– Dobrze – poddał się Hodża Nasreddin, widząc, że innym sposobem nie uda mu się wydobyć od starca sensownej odpowiedzi. – Dobrze, gotów jestem przyjąć od ciebie twoje tajemnice.

– A więc, w imię prawdy, zaczynajmy! – rzekł uroczyście żebrak. – Tylko przesiądź się wpierw na inne miejsce – moje myszy boją się i dotąd nie wyszły wieczerać ze swej norki.

Hodża Nasreddin przesiadł się, myszy wyszły z norki i zjadły wieczerzę, po czym starzec modlitewnym ruchem pogładziwszy brodę, rzekł:

– Oby najwyższa mądrość pobłogosławiła naszą rozmowę i zesłała na ciebie dar rozumienia, a moim słowom przydała jasności i głębi.

Zamknął oczy i na dłuższą chwilę pograżył się w milczeniu, jak gdyby zasłuchany w tajemny głos swej duszy. Twarz jego, wzniosła i skupiona, rozjaśniła się wreszcie. Podniósł palec, nakazując gościowi uwagę.

Tajemnica starca o kolejnych wcieleniach duszy dawno znana była Hodży Nasreddinowi z rozmów z indyjskimi derwiszami, milczał jednak przez uprzejmość. Myśli jego niepostrzeżenie zwróciły się w zupełnie innym kierunku: ku rodzinie, ku nadchodzącej wiosnie – z nauk starca pozostał tylko monotony głos, niby miarowe brzęczenie kołowrotka, słowa znikły. „Za tydzień powieje południowy wiatr, drogi roztają, śnieg osunie się z górskich stoków – myślał Hodża Nasreddin. – Miną jeszcze dwa tygodnie i ruszą w daleką drogę karawany, ruszą koczownicy ze swymi stadami...”

A kołowrotek wciąż brzęczał i brzęczał... W celi dało się słyszeć melodyjne chrapanie i delikatne poświstywanie nosem.

Hodża Nasreddin spał. Usta miał półotwarte, tiubetiejka zsunęła mu się na lewe oko, głowa opadła, ramiona zwisły. Na szczęście siedział w cieniu, starzec nie zauważył więc jego bezwstydej

senności. Lecz wielkie tajemnice, nad którymi już się nieco uniosła zasłona, pozostały dla niego nadal zakryte, a wraz z nim i dla nas.

Spał, a sny jego dalekie były od wszelkich nieziemskich tajemnic. Śniły mu się drogi, drogi, o których tak uporczywie myślał na jawie, gwarne bazary tak miłe jego sercu, karawany wielbłądów na pustyni, górskie przełęcze, gdzie wędrowcy, trzymając się wspólnej liny, wspinają się skroś wilgotne, gęste chmury. Widział oślepiający granatowy blask południowych mórz, rozkołysane, jak kryształ gładkie fale, ciężko toczące się pod wysoki dziób statku, zgrzyt i pełzanie wzdłuż burt zardzewiałego łańcucha sterowego, napięte wiatrem żagle tureckich feluk...

Tiubetiejka zsunęła mu się z głowy i upadła na kolana. Drgnął, przebudził się.

Derwisz dalej wykladał swoje nauki:

– Mógłby ktoś spytać: gdzie znajduje swoje nowe wcielenie duch, który opuścił ziemię, i gdzie przebywał on wprzód, nim zjawił się na ziemi? A planety, a gwiazdy rozsiane we wszechświecie! My przychodzimy na ziemię z jakiejś gwiazdy i odchodzimy na gwiazdę, my, gwiazdni wędrowcy, o Hodzo Nasreddinie! Dlatego to gwiazdna kopuła przyciąga ku sobie nasz wzrok i napełnia nas podniosłym uczuciem: widzimy nas dołą naszą wieczną i bezgraniczną ojczyznę, która dała nam nieśmiertelność.

Hodza Nasreddin uznał, że nadszedł odpowiedni moment, by zadać derwiszowi jakieś pytanie i zatrzeć w ten sposób owo haniebne zaśnięcie.

– O świątobliwy starcze! Często wypadało mi widzieć spadające gwiazdy. Jak należy rozumieć to ich spadanie? Nie wadzi, jeśli obrywa się i spada ta gwiazda, na której zdążyłem już pobyc w jednym ze swych poprzednich wcieleń, ale co robić, jeśli spadnie ta, na którą powinienem się przenieść? Gdzież to mój duch będzie jej szukał po zakończeniu ziemskiego żywota i gdzież ma się podziąć, skoro nie znajdzie jej we wszechświecie?

Starzec stropił się nieco i przechyliwszy w tył głowę długo mierzył Hodzę Nasreddina zdziwionym spojrzeniem.

– A ja właśnie zamierzałem pochwalić cię za gorliwość, z jaką słuchałeś moich nauk, nie przerywając mi toku myśli głupimi i niestosownymi pytaniami – powiedział niechętnie. – Wszak jest już późno, piał już północny kur i słyszałem, jak straż miejska biciem w bębny nawoływała mieszkańców miasta, by pogasili ogniska. Idź więc w pokoju do domu, pomyśl o tajemnicach, które ci zawierzyłem, a jutro wieczorem przyjdź tutaj znowu. Porozmawiamy jeszcze.

Hodza Nasreddin wstał, w milczeniu pokłonił się żebrakowi i wyszedł z celi. Noc powitała go wilgotnym wiatrem i czernią gęstą, nieprzejrzaną, jak owe mroki ciemnoty, w których żyją ludzie słabi duchem i rozumem. Ale deszcz ustał, chmury się rozproszyły; ze smugi światła, która zarysowała się na zachodzie, wyrzała samotna gwiazdka – nieśmiała, jakby zapłakana. Skroś mokre rzęsy ze zdziwieniem spoglądała z przestworzy na czarną zimną ziemię, a w blasku jej tyle było dobrotliwej łaskawości, że Hodza Nasreddin, rozczulony, zapragnął koniecznie trafić na tę właśnie gwiazdę, skoro już wędrówki po gwiazdnych szlakach były mu sądzone... „O, piękna, błękitna gwiazdeczko, bądź mi przychylna, kiedy wybije moja godzina!” – zawołał w myśli,

wzlatując swym nieśmiertelnym duchem w nadziemskie sfery, ale akurat w tym momencie jego doczesna, cielesna powłoka pośliznęła się na wątej kładeczce z dwóch żerdzi i z głośnym pluskiem, rozbryzgując dokoła wodę, zwała się w głęboki, lodowaty aryk. Hodża Nasreddin przemókł do nitki, utyłł się w błocie i, nim dobrnął do domu, zziął i zsiniał. „Gdzie cię też licho niesie w taką ćmę!” – gniewała się Giuldżan, rozwieszając nad ogniem jego mokrą odzież. Hodża Nasreddin milczał, przeklinając w duszy najbrzydszymi słowy bogobożnego starca i jego nauki o gwiazdnych wędrówkach, przez które wypadło mu odbyć tę żalną nocną wędrówkę po ziemskim padole...

Jednakże następnego wieczora znów siedział w ubogiej celi i słuchał dalszych nauk żebraka.

Tym razem dowiedział się, że każdym wcieleniem rządzi specjalne prawo, któremu duch nasz musi być posłuszny, aby w nowym wcieleniu osiągnąć większą doskonałość i wzbogacić się nowymi właściwościami, niezbędnymi do przejścia w następny, wyższy byt.

– Jeśli chodzi o ziemskie wcielenie – mówił starzec – to jego prawem jest prawo czynnego dobra. Wiedz: przyszłe radosne stulecia ziemi należą do ludzi czynnych – nazwę ich Walczącymi i Tworzącymi Derwizami – którym też wypadnie zniweczyć ostatecznie ziemskie zło... Ty, o Hodzo Nasreddinie, jesteś zwiastunem owych dzielnych twórców i dlatego twój ziemski żywot ma takie znaczenie i powinien posłużyć jako przykład wielu pokoleniom, które przyjdą po nas...

Hodża Nasreddin z niekłamaną uwagą słuchał proroctw żebraka o rajskim rozkwicie ziemi, który co prawda nastąpić miał dopiero za jakie pięćkroć sto tysięcy lat... Stary derwiz tak głęboko wierzył w swoją nieśmiertelność, że ze stuleciami i tysiącletniami był za pan brat, w doskonałej harmonii. Ale Hodża Nasreddin taki termin napawał smutkiem. Przywykł uważać ziemię za swój dom rodzinny, a nie za przypadkowy karawanseraj na szlakach gwiazdnych wędrówek i chciał czym prędzej zaprowadzić w tym domu porządek. Pięćset tysięcy lat! Umysł jego gubił się w tej nieskończoności...

A tymczasem zbliżała się północ. Hodża Nasreddin spróbował zawrócić gwiazdnego wędrowca z jego górnych i chmurnych lotów na ziemię, ku sprawie, gwoli której spotkali się w tej celi.

– Czuję, że mi się w głowie przejaśniło, o wieszczu – powiedział z szacunkiem – sędzę więc... pozwalam sobie, że tak powiem, na zuchwalstwo, licząc na twoją pobłażliwość... sędzę, że teraz mógłbym pojąć, jakiej to pomocy oczekujesz ode mnie... Ośmielam się dodać, że pora już późna, a czas leci – wyjaw mi więc swoją sprawę.

Starzec zwiesił głowę:

– Sprawa to bardzo, bardzo trudna...

– Mów! Gotów jestem uczynić wszystko, byleby to nie przekraczało ludzkich sił. A zresztą, gdyby nawet przekraczało, ale nie za bardzo – też jestem gotów!

Starzec westchnął głęboko i rozpoczął swoją opowieść:

– W owych czasach, gdy nic jeszcze nie wiedziałem o Bractwie Milczących i Dociekających, kiedy byłem bogaty i wiodłem niegodny tryb życia, oddając się uciechom i rozpuście, kiedy mi nawet do głowy jeszcze nie przychodziło rozdać wszystkie swoje bogactwa ubogim, a samemu zostać gołym i bosym, w owych czasach wśród innych majątności posiadałem jezioro górskie, tu,

w Ferganie. I oto pewnego razu – o, czarny dniu mego życia! – przegrałem to jezioro w kości do niejakiego Agabeka. Człowiek ten łączy w sobie okrucieństwo smoka z nieczułością pająka. Zawładnąwszy jeziorem, osiedlił się nad jego brzegiem i nałożył na mieszkańców osady taki niesłychany haracz za wodę do podlewania, że wielu z nich zbiedniało, a niektórzy wpadli nawet w skrajną nędzę...

Głuchy szloch przerwał na chwilę mowę starca. Zapanował jednak nad swoim wzburzeniem i ciągnął:

– Co roku z nadejściem wiosny dochodzą mnie słuchy o okrucieństwie i chciwości tego człowieka. Męczę się, przelewam łzy, ale męka skruchy nic tu nie może poprawić. Kamieniem ciąży na mnie to zło i kiedy zakończę swoją ziemską wędrówkę, nie pozwoli mi ono przejść w inny, wyższy byt, albowiem duch ludzki nie może osiągnąć właściwego stopnia doskonałości, jeśli to, co posiał na ziemi, nie zostanie naprawione...

– Rozumiem, rozumiem! – przerwał mu Hodża Nasreddin, widząc, że starzec znów rozprostowuje skrzydła gotując się do wzlotu. – A więc powinienem odebrać Agabekowi to jezioro? Masz rację, przemądry nauczycieli. Takiego zadania nigdy bym sobie nie potrafił uświadomić, gdybym uprzednio nie wysłuchał wszystkich twoich nauk. Posłuchaj, starcze: nigdy na oczy nie widziałem tego Agabeka, ale obiecuję ci z góry, że jego dochody wydatnie zmniejszą się w tym roku. Powiedz, gdzie znajduje się to twoje jezioro? – Starzec milczał. W nocnej ciszy Hodża Nasreddin słyszał dalekie pianie kogutów. Ostatni, drugi, dzień starca skończył się, usta jego zgodnie ze słubami zamknęły się do następnej wiosny.

– Jedno słowo! – zawołał w trwodze Hodża Nasreddin. – Jedno tylko słowo: gdzie? – Starzec milczał.

Hodża Nasreddin nie umiał ukryć zawodu:

– Na wszystko starczyło ci czasu, czcigodny starcze. Na długie rozprawy o gwiazdnych wędrówkach i niebieskich przestworzach, ale jednego jedynego ziemskiego słowa, tego właśnie najbardziej potrzebnego, nie wypowiedziałeś, zabrakło ci ostatniej sekundy!

Żebrał ukrył w dłoniach zapadłą, wynędzniałą twarz, na której malowała się niewypowiedziana rozpacz.

Gorąca fala współczucia zalała serce Hodży Nasreddina, policzki okrył mu rumieniec wstydu.

– Wybacz mi ten surowy wyrzut! – zawołał dotykając ramienia żebraka. – Pociesz się: wiem, że twoje jezioro leży w górach Fergany. To mi wystarczy. Znajdę jezioro i znajdę Agabeka, klnę się na tę gwiazdę, na którą sążone mi jest się przenieść! Gdy tylko w moim ogródku zakwitnie drzewo migdałowe, wyruszę w drogę. Doskonał dalej swoją duszę, o gwiazdny wędrowcze, a resztę pozostaw już mnie!

Wracając w ciemnościach do domu i brnąc przez kałuże, Hodża Nasreddin to uśmiechał się do siebie, to znów zapadał w głęboką zadumę. „Obłąkany czy mędrzec z tego żebraka?” – zadawał sobie pytanie. Noc była zimna, wilgotna, ale w pachnącej wilgoci wiatru, w czystym blasku gwiazd czuło się bliskość wiosny.

Hodża Nasreddin skręcił w swoją uliczkę. Stała tu przy drodze znajoma dziuplasta topola – bardzo już stara, sądząc po szramach i czarnych gruzłach na jej stwardniałej korze. Teraz, w ciemności, która stopiła w jedno ziemię, domy i płoty, nie widać było jej pnia, ale rozłożysta korona rysowała się delikatnie na ciemnym lecz przezroczystym niebie srebrzącym się od gwiazd. Hodża Nasreddin podskoczył, chwycił dolną gałązkę topoli i ostrożnie, żeby jej nie złamać, przyciągnął ku sobie. Zaledwie tydzień temu topola była martwa, zastygła w ciężkim, zimowym śnie jak w śmierci, a dziś pod palcami wyraźnie wyczuwało się pączki, jeszcze nie lepkie, ale już pachnące. Przywarłszy uchem do pomarszczonej kory, Hodża Nasreddin złowił słaby, lekko uchwytny dźwięk, przypominający jęk dalekiej struny – ni to szum nocnego wiatru, ni to rodzący się we wnętrzu drzewa utajony ruch soków – od korzenia ku wierzchołkowi.

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

ROZDZIAŁ TRZECI

O d owej pamiętnej rozmowy Hodża Nasreddin nie wrzucał już jałmużny do miseczki starego żebraka, ale zwykle zabierał dla niego z domu świeży jęczmienny placek zawinięty w czysty gałganek.

Żebrak, jak zwykle, dziękował mu niemym pokłonem i spojrzeniem pełnym nadziei.

– Już niedługo, teraz już niedługo – odpowiadał Hodża Nasreddin. – Gdy tylko ociepli się trochę w górach, gdy podeschną drogi, ruszę na poszukiwanie jeziora.

Niebo stawało się coraz jaśniejsze, wyższe, coraz bardziej błękitne i z rzadka tylko zaciągało się chmurami. W południe można było siedzieć na słońcu bez chałatu. Podniecony nadejściem wiosny Hodża Nasreddin wychudł, oczy świeciły mu młodym, ostrym blaskiem, sen w owych dniach miał niespokojny.

Minął jeszcze tydzień. Pewnej nocy Hodża Nasreddin dręczony bezsennością wyszedł do swego małego ogródka i... zamarł z zachwytu. Ziemia płynęła w błękitnej mgle, a ciemne, lecz przezroczyste powietrze nad nią huczało, zanosilo się jękiem i szumem, gęgotem zwołujących się gęsi, dzwonieniem i poświstem skrzydeł dzikich kaczek. Wolne ptaki leciały na północ. „W drogę, w drogę!” – metalicznym głosem krzyczały gęsi, wysoko w niebie, pod samymi gwiazdami zbierając swoje karawany. „Prędzej, prędzej!” – odpowiadały im ruchliwe kaczki i bezładnie, jak popadło, ze wszystkich stron, stadami parami i w pojedynkę, leciały nisko i szybko, zawiadując niemal o drzewa. Wzdychał wiatr, zasypując ziemię białym deszczem ptaków, śpiewnie szumiała w arykach wiosenna woda. W stajni trwożnie i radośnie zarazem zarżał żebrak i dźwięcznie uderzył kopytem w glinianą polepę. Hodża Nasreddin długo stał w oszołomieniu, zapatrzony w skrzydlate zastępy ciągnące w niebieskich przestworzach.

Świt zastał go w przegródce iszaka.

– Nie smuć się, dni naszej zgryzoty minęły! – mówił, obejmując za szyję swego długouchego przyjaciela. – Za tydzień będziemy daleko stąd, na wielkich szlakach, na gwarnych bazarach. Tak, ale Giuldżan... Jak się zachować? Powiedzieć jej po prostu, wyjawić prawdę? Znasz przecież jej charakter. Gdyby na przykład utonęła w rzece – zmiłuj się, Allachu, i uchron nas od takiego nieszczęścia! – to poszedłbym szukać jej ciała nie w dole, lecz w górze rzeki!

Pograżył się w zadumie. Różne myśli jak błyskawice przelatywały mu przez głowę, ale odrzucał je wszystkie, jedną po drugiej.

– Czyżbym tak zgłupiał? Czemu milczysz, wierny mój iszaku? Pomyśl, pomóż mi trochę!

Osiół odpowiedział westchnieniem i burczeniem w brzuchu. W tym momencie przezroczysty różowy promyk wschodzącego słońca prześliznął się przez szparę w drzwiach i wpadł do przegródki. Oczy Hodży Nasreddina zapaliły się blaskiem zorzy.

– No, oczywiście! – zawołał. – Skoro ja nie mogę wyjechać i zostawić rodziny, to czemużby moja rodzina nie miała wyjechać ode mnie?

Wróciwszy tego dnia z bazaru powiedział do żony:

– Spotkałem dzisiaj jednego bucharczyka, który dobrze zna twojego ojca, starego Nijaza. Człowiek ten wyjechał z Buchary dwa miesiące temu, a teraz przyłączył się do jakiejś karawany i wraca do domu. Mówił mi, że twój ojciec cieszy się dobrym zdrowiem i żyje sobie nienajgorzej, ale bardzo tęskni. Jaka szkoda, że mnie nie wolno zjawić się w Bucharze, że nie możemy go odwiedzić!

Giuldżan nic nie odpowiedziała, pochyliła się tylko niżej nad swoim szyciem. Hodża Nasreddin patrzył na nią ze smutnym i dobrym uśmiechem. Któż by poznał w tej grubej, krzykliwej kobiecie o czerwonej twarzy dawną Giuldżan! Ale Hodża Nasreddin miał podwójne spojrzenie – kiedy chciał, mógł patrzeć na swą ukochaną żonę oczyma duszy i widzieć ją taką jaką była dawniej. „O, moja ty potulna gołąbeczko, wybac mi to kłamstwo! – przepraszał ją w myśli. – Ale ty sama przecież dobrze znasz swój charakter. Powiedz uczciwie, czy mogę postąpić inaczej?”

Nazajutrz znów wszczął rozmowę o znajomku z Buchary.

– Chciałem go do nas zaprosić, ale karawana odeszła już do Buchary – powiedział przy obiedzie, patrząc w ścianę, żeby nie spotkać wzroku Giuldżan, gdyż naprawdę żadnego znajomka z Buchary ani wczoraj, ani dzisiaj nie spotkał, tylko wszystko to wymyślił – od początku do końca. – Za tydzień będą w Bucharze – mówił w zadumie. – Wejdą do miasta przez południową bramę, którą widać z dachu waszego domu. I stary Nijaz zobaczy może z dachu tę karawanę. A potem ten bucharczyk opowie mi o nas, że jesteśmy zdrowi, mieszkamy w Chodżencie, oddaleni od Buchary o tydzień drogi zaledwie. I jeszcze opowie Nijazowi, że Allah obdarzył go siedmioma wnukami i że wszyscy wnukowie kochają swego dziada, chociaż nigdy go nie widzieli...

Giuldżan westchnęła, na rzęsach jej zawisła łza. Hodża Nasreddin zrozumiał: glina jej serca rozmiękła, teraz czas puścić w ruch garncarskie koło przebiegłości i lepić garnek swoich projektów.

– A trzeba by, trzeba pokazać staruszkowi wnuków – powiedział ze smutkiem. – Oby poraził Allah ślepotą i ropnymi wrzodami tego rozbójnika emira, przez którego nie mogę zjawić się w Bucharze! Zakaz zresztą dotyczy tylko mnie, ty z dziećmi doskonale mogłabyś pojechać. Za tydzień witałabyś się już ze staruszką. Szkoda, że nie mamy pieniędzy na tę wyprawę.

– Jak to nie mamy pieniędzy! – zaprotestowała Giuldżan. – A schowana w skrzyni sakwa, w której jest osiemset tańga?

Hodża Nasreddin tylko czekał, żeby Giuldżan zaczęła mówić o sakwie z pieniędzmi. Cały dalszy przebieg rozmowy znał już z góry, tak jak doświadczony przewoźnik zna rzekę, na której się wychował, wszystkie jej załomy, mielizny i niebezpieczne progi.

Pewną ręką poprowadził naprzód swoją łódź.

– O nie! – zawołał. – Tych pieniędzy nie wolno ruszać, przeznaczyłem je na potrzeby domu.

– Przeznaczyłeś? No, no, proszę!

Niebezpieczny próg zbliżał się. W głosie żony Hodża Nasreddin wyraźnie słyszał groźny, wzbudzony łoskot wirów.

Raz jeszcze poruszył wiosłem i omijając wszystkie spokojne łachy wyprowadził swoją łódź na sam środek rzeki, w główny nurt.

– Po pierwsze, trzeba w ogrodzie zrobić porządny basen i wyłożyć go kamiennymi płytami, żeby dzieci miały gdzie kąpać się w upalne dni.

– Masz zupełną rację – powiedziała Giuldżan. – Jakże tu obejść się bez basenu, skoro rzeka przepływa tuż koło naszego ogrodu, o dziesięć kroków! A wyłożyć można by go marmurem...

Łódka płynęła z zawrotną szybkością, przed nią widać już było białą pianę kipiącą na podwodnych głazach.

– Basen będzie kosztował dwieście tańga – Hodża Nasreddin zagiął dwa palce. – Poza tym zamierzam postawić w ogrodzie altankę i przybrać ją wewnątrz dywanami. Cieśla mówi, że na to trzeba będzie jeszcze dwustu tańga. I tyle samo wypadnie zapłacić za dywany.

– Razem sześćset – policzyła Giuldżan. – Pozostaje jeszcze dwieście.

– I te są potrzebne – powiedział szybko Hodża Nasreddin. – Zamiast naszej furtki ze zwykłych desek chcę postawić orzechową, rzeźbioną. I wreszcie zamierzam wezwać majstrów, żeby wymalowali cały nasz dom od wewnątrz i od zewnątrz w błękitne kwiaty.

Błękitne kwiaty dopiero w tym momencie przyszły mu do głowy. Powiedział i sam się przeląkł.

– A dlaczego od zewnątrz? – spytała Giuldżan.

– Żeby było ładnie – wyjaśnił Hodża Nasreddin.

Nagle wiosło złamało się, łódka wpadła z rozpedu na głazy, wyróciła się, wir wciągnął Hodżę Nasreddina. Do samego wieczora były krzyki i łzy.

– Na to, żeby odwiedzić biednego, samotnego staruszka, nie ma pieniędzy, ale żeby malować dom w błękitne kwiaty, na to są, oczywiście – krzyczała Giuldżan. – Na co malować dom od zewnątrz! Przecież i tak pierwszy deszcz zmyje twoje głupie malunki!

Hodża Nasreddin milczał. Przez dwa dni musiał z odkrytą głową stać pod ulewnym deszczem jej wyrzutów – za to trzeciego dnia przed furtką zjawiła się kryta arba. Triumfująca, dumna ze swego zwycięstwa, wyjeżdżała Giuldżan ze swymi dziećmi do ojca, do Bucharjy.

– Uważaj dobrze na mostach i na pochyłościach – pouczał Hodża Nasreddin woźnicę. – Nie puszczaj konia cwałem.

Woźnica drzemał leniwie na słoneczku, drzemała też, przysiadłszy na lewą tylną nogę, srokata kobyła. Pouczenia Hodży Nasreddina były absolutnie zbyteczne, przeszło już bowiem wiele lat od czasu, gdy ta czcigodna para puszczala się w cwał.

Hodża Nasreddin wyścielił arbę miękką ryżową słomą, nakrył słomę podróżnym dywanikiem, a potem długo wynosił z domu różne tłumoki, kosze i torby. Wreszcie z furtki wyszła Giuldżan, a za nią, gęsiego, wedle wzrostu, siedmioro dzieci – same chłopaki.

Woźnica drgnął, poprawił się w siodle, mocniej wparł nogi w hołoble, machnął batem, jakby chciał pokazać, że gotów jest do drogi, i znów zapadł w drzemkę, wiedząc z doświadczenia, że jeszcze nieprędko powiedzą mu: „Komu w drogę, temu czas! Wielki Allah jest nad nami!”

A kobyła nawet się nie obudziła, tylko zmieniła pozycję, przysiadając teraz na prawą nogę.

Hodża Nasreddin pomógł żonie wdrapać się po szprychach koła na arbę, po czym podał jej wszystkich synów, mocno całując każdego na pożegnanie. Na arbie zakotłowało się: wieloreki, wielogłowy, pstry kłębek piszczał, krzyczał i płakał, a pośrodku, jak kwoka wśród piskląt, siedziała zatroskana teraz i posmutniała nagle Giuldżan.

– Drogi mój małżonku, czy aby dobrze zapamiętałeś moje polecenia?

– Zapamiętałem, wszystko zapamiętałem, o różo mego serca! Po pierwsze odnieść blacharzowi do zalutowania dziurawy kumgan, po drugie – oczyścić komin, po trzecie – oddać rzeźnikowi dług, szesnaście tańga.

– I jeszcze ogrodzenie – przypominała Giuldżan, wskazując szeroką wyrwę w glinianym murku, przy furtce. – Koniecznie napraw ogrodzenie.

– Zabiorę się do tego jeszcze dzisiaj, jak tylko was odprowadzę. Nie zatrzymuj się w Bucharze zbyt długo, o światło moich oczu!

– Wrócimy dokładnie za trzy miesiące.

Znów zaczęły się pożegnania – uściski, pocałunki, pisk, krzyk i lament. W tym zamieszaniu Hodża Nasreddin zupełnie nie mógł się doliczyć, którego z synów pocałował dwa razy, a którego pominął, i po raz dziesiąty zabierał się do całowania wszystkich od nowa.

Tymczasem słońce podniosło się wysoko, lekkie cienie poranku ustąpiły miejsca dziennym – krótkim i ostrym, woźnica zdążył się już wyspać, kobyła zdrewniała od długiego stania – trzeba było ruszać.

– No, jedziemy! Wielki Allah jest nad nami! – załamującym się głosem powiedział Hodża Nasreddin.

– Wielki Allah jest nad nami! – powtórzył woźnica, i arba, skrzypiąc i kołysząc się, zaczęła wolno obracać swoje wielkie koła.

Hodża Nasreddin szedł z tyłu. Minęli zaułek, minęli znajomą topolę, która wypuściła już listki i zawisała lekkim zielonym obłokiem nad drogą.

Minęli targowisko, do wrót miejskich było już niedaleko. Giuldżan powiedziała do męża:

– Jeśli postanowiłeś odprowadzić nas do samej Buchary, to już lepiej usiądź koło mnie.

Podziękował jej uśmiechem za ten żart, zatrzymał arbę, po raz ostatni ucałował rodzinę – od Giuldżan aż do najmłodszego... I długo jeszcze stał na drodze patrząc za odjeżdżającymi. Wreszcie arba zniknęła za zakrętem, ucichło jej skrzypienie – Hodża Nasreddin został sam.

Smutny i zamyślony wracał do domu, wspominając słowa ibn-Hazma: „W rozłące trzy czwarte zgrzoty bierze na siebie ten, co zostaje; ten, co odchodzi, zabiera z sobą ledwie jedną czwartą”.

Domek powitał go słoneczną ciszą. Tylko w sadzie dźwięcznym głosem krzyczała samotna wilga – dawniej w wiecznym rozgwarze hałaśliwych dziecięcych zabaw nie słyszał jej ani razu.

Nie zaglądając nawet do opustoszałego domu, poszedł do szopy, otworzył drzwi, gwizdnął cichutko. Ciemności nie odpowiedziały. Gwizdnął po raz drugi. W szopie rozległo się ciężkie

westchnienie, sapanie, szmery i wyszedł iszak – gruby, senny, pochmurny, odwykły od słońca, z niezadowoleniem mrużąc oczy w ostrym świetle. Zastrzygł uszami i powiódł dokoła zdziwionym spojrzeniem.

– Cóż cię tak dziwi? – spytał Hodża Nasreddin. – Że w domu taka cisza? Wszyscy pojechali do Buchary, do starego Nijaza, a my jesteśmy teraz wolni jak ptaki.

W ciągu kilku minut Hodża Nasreddin pozbierał sakwy podróżne i osiodłał iszaka.

– Ho, ho, ale zrobiłeś się gruby, jak gissarski baran!^[12] – mówił zaciągając popręgi. – Ale klnę się na Allacha, że za tydzień będziesz podobny do charta! Czeka nas, mój wierny przyjacielu, mnóstwo roboty, a czasu mamy bardzo mało. Naprzód! Przed nami wielka droga!

Zamknął dom na miedzianą kłódkę, podparł furtkę od wewnątrz dwiema grubymi belkami, po czym, zupełnie nie troszcząc się o bezpieczeństwo swego mienia, wyjechał przez wyrwę w ogrodzeniu na drogę.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

PRZYPISY

- [1] Musliheddin Saadi (1184-1291) – znany poeta perski.
- [2] Czaichana – herbaciarnia.
- [3] Aryk – kanał nawadniający.
- [4] Iszak – osioł.
- [5] Mudarris – uczony, wykładowca w muzułmańskiej szkole teologicznej.
- [6] Ulema – teolog muzułmański.
- [7] Kadi – duchowny muzułmański pełniący obowiązki sędziego.
- [8] Kumgan – naczynie miedziane.
- [9] Tiubietejka – wzorzysta czapeczka noszona na Wschodzie.
- [10] Hafiz (człowiek, który zna Koran na pamięć) – pseudonim Szamseddina Mohammeda, wielkiego perskiego poety XIV w.
- [11] Tańga - moneta używana na Wschodzie.
- [12] Gissarskie owce – rasa owiec dostarczająca szczególnie dużych ilości mięsa i tłuszczu.

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna



Wydawnictwo Akademickie
DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel.: +48 22 620 32 11, +48 22 654 01 49

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

Biuro handlowe : 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks: +48 22 620 87 03

e-mail: biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl

www.wydawnictwodialog.pl

Serie Wydawnictwa Akademickiego DIALOG:

Wydawnictwo Dialog(c) Copyright edycja elektroniczna

- Języki Orientalne
- Języki Azji i Afryki
- Literatury Orientalne
- Skarby Orientu
- Teatr Orientu
- Życie po Japońsku
- Sztuka Orientu
- Dzieje Orientu
- Podróże–Kraje–Ludzie
- Świat Orientu
- Historia/Polityka
- Mądrość Orientu
- Współczesna Afryka i Azja
- Vicus. Studia Agraria
- Orientalia Polona
- Philologia Orientalis
- Literatura Okresu Transformacji
- Literatura Frankofońska
- Być Kobietą
- Temat Dnia
- Wieczory z Nauką
- Życie Codzienne w...

Prowadzimy sprzedaż wysyłkową